MIŁOŚĆ NIEMA.

Powieść z niemieckiego przez N. A. K. (*Dokoń.*)

Już wszedł w granice Niderlandów, i nad zachodem słońca, przybył do Rummelsburga, małego miasteczka, które poźniey do szczętu zostało zniszczone podczas woyny trzydziesto-letniey; karawana furmanów z Lyk napełniała już oberżę; a lichy stróy Franciszka nie wzbudzał w nikim chętki doświadczenia jego rzemiosła: miano go bowiem za szpiega bandy złodziejów. Dla tego właśnie oberżysta odprawił go do blizkiey wioski. Franciszek, zmuszony wziąć znowu swóy węzełek na ramie, zabierał się w dalszą drogę, narzekając na swą niedolę i nieużytość gospodarza.

Tym czasem oberżysta, tknięty jego położeniem: „posłuchay młodzieńcze, rzecze, jeśli ci trudno wlec się daley, nastręczę ci tu nocleg. W tym oto zamku na górze, mnóstwo jest próżnych pokojów, od których mam klucze; jeśli się nie lękasz przepędzić tam nocy sam jeden, chętnie cię zaprowadzę". Stary lis, oberżysta, urażony złorzeczeniami Franciszka, zostawiał zemstę duchowi, który harcował po zamku, i oddawna niemieszkalnym go czynił.

Starożytna ta budowa wznosiła się tuż pod miasteczkiem, na stroméy skale, przeciwko oberży, od którey ledwo gościńcem i małym strumieniem była oddzielona. Że zaś w nader przyjemney leżała okolicy, właściciel utrzymywał ją w dobrym stanie i zamienił w zamek myśliw=

ski; często tam jadał śniadania i obiady ze swoimi przyjacioły; lecz, jak tylko błysnęły gwiazdy, wszyscy się oddalali, ustępując placu upiorowi, który się nigdy śród dnia nie pokazywał. Nie bardzo się cieszył jegomość z takiego gościa; ale też za to zyskiwał: bo jeśli mu widmo wzbraniało nocować w swym domu, to natomiast oddalało złodziejów; a tak mógł bezpiecznie składać tam wszystko, co miał naydroższego.

Słońce już zaszło, noc rozpostarła swe cienie ponad ziemią, gdy Franciszek, z latarnią w ręku, przybył do fórtki zamkowey z oberżystą niosącym kosz, w którym było jedzenie i butelka wina, niemające należeć, wedle jego oświadczenia, do porachunku, a prócz tego jeszcze dwie świéce: gdyż w całym zamku nie było ani świecznika, ani świéc: bo i na cóżby się przydały, kiedy zwykle oddalano się ze zmrokiem. Kiedy szli jeszcze, Franciszek postrzegłszy w koszu, który się rwał pod cięźarem swojego ładunku, dwie świéce woskowe, i spodziewając się, że za nie dobrze przyydzie zapłacić, rzekł do swego przewodnika: a toż do czego? do swiécenia, dosyć będzie stoczka, który jest w latarni, nim się położę, a obudziwszy się, światło słoneczne, świéce te zastąpić zdoła: bo, tak strudzonemu, jak ja, zdaje się można spać do wschodu słońca. Nie będę przed tobą taił tego, odpowié oberżysta, iż, jeśli można wierzyć latającym pogłoskom, zły duch tłucze się po zamku. Lecz bądź spokoyny, wszak nie daleko do oberży, gdyby potrzeba było pomocy, w jakiém nadzwyczayném zdarzeniu, przez całą noc prawie ludzie krzątają się w domu, nie zaniecha-

my ci dać w przypadku ratunku. Wszak to, móy panie, 30 lat mieszkam w tém miasteczku, a mogę powiedzieć, iż nigdym nie widział widma. Jeśli jaki szelest posłyszysz w nocy, to przyczyną jego są, koty albo łasice, tłukące się po szpichrzu. Z tém wszystkiém, uważałem sobie za powinność, opatrzyć cię w światło na wszelki przypadek: bo w każdém zdarzeniu, nic nié masz lepszego, jak wszystko widzieć w świetle: z resztą są to gromnice, jeśli więc przypadkiem jaki zły duch zabłądzi do zamku, blask ich natychmiast go odżenie.

Nie kłamał oberżysta zapewniając, iż nigdy upiora nie widział w zamku: bo ani potknął nogi w nocy, a we dnie nie pokazywało się widmo. Otworzywszy fórtkę, oddał kosz wędrowcy, zainformował go gdzie się ma udać i życzył dobrey nocy. Franciszek minął dziedziniec i bez obawy wszedł do przysionka, w zupełném przekonaniu, iż wieści o upiorach, powstały z bajek o jakiémś dawnym trefunku, które łatwowierność ubarwiła. Przypomniał sobie, co mu prawiono o zacnym rycerzu Eberhardzie de Bronkhorst, który go z taką przyjął gościnnością. Postanowił przeto zawsze opacznie tłumaczyć gminne pogłoski, nie pomnąc wcale, iż, podług zdania mądrego Bronkhorsta, zawsze w nich jest lekki cień prawdy.

Stosownie do ostrzeżeń oberżysty, Franciszek przebiegł kręcone schody i stanął u drzwi zamkniętych, które otworzył danym sobie kluczem. Długa galerya, po którey rozlegały się jego stąpania, zaprowadziła go do wielkiey sali, z którey drzwi boczne wiodły do szeregu poko-

jów wytwornie przybranych i we wszystko opatrzonych. Zajął więc jeden z tych pokojów, w którym znalazł wygodne łóżko, a ztąd okna wychodziły na tę stronę, gdzie była oberża, tak, iż mógł słyszeć, mniey głośno nawet rozmawiających. Zapalił swoje swiéce, dobył pokarmy i nayspokoyniey wieczerzać zaczął; nie miał czasu troszczyć się o widmo; gdy zaś jaki szmér dawał się słyszeć o podal, a trwoga go zdeymowała, wnet mówił do siebie: to koty i łasice, tłukące się po szpichrzu. Lecz kiedy głód i pragnienie ugasił, uwaga jego, odtąd niczém niezajęta, całkiem niejako w uszach osiadła.

Na wszelki przypadek zasunął drzwi i usiadł w otwartém oknie. Dla rozrywki przypatrywał się niebu, rozważał plamy na xiężycu i liczył spadające gwiazdy. Gościniec pod zamkiem stał się próżnym nareszcie, gasły powoli światła w oberży, a naygłębsze milczenie wkrótce panować zaczęło. Stróż począł w trąbkę się odzywać i nócić dawną piosnkę, prawie tuż pod oknem; mógł nawet z nim rozmawiać, lecz zamilkł, bojąc się, aby stary inwalid nie dąsał się za niepotrzebną rozmowę.

O północy to dopiéro, kiedy większa część ziemskich mieszkańców w głębokim snie ponurzona, duchy wracają do życia i czynności. Franciszek pragnął, aby ta godzina uspionym go znalazła; zamknął więc okno, obeyrzał wszystkie kąty pokoju, i zabrał się do spania. Wszakże nie mógł usnąć tak prędko, jak sobie życzył. Lekkie bicie serca, które przypisywał zmordowaniu i niezmiernemu upałowi w drodze przez czas pewny, wzbraniało mu zamknąć powieki;

odmówił zatem modlitwy wieczorne, z taką gorącością, jak nigdy, a potem głęboko zasnął. W godzinę, zerwał się równemi nogami, jak zwykle się zdarza, kiedy krew jest wzburzona. Nadstawiwszy ucha, posłyszał wcale różny dźwięk, aniżeli zegaru, bijącego dwunastą godzinę, a razem spiew stróża, ogłaszającego północ całey osadzie. Franciszek tylko co miał znowu zasnąć, gdy mu się zdało, że drzwi skrzypnęły, a potym z głuchym zamknęły się stukiem. To wiatr, pomyślał z drżeniem: tym czasem lękał się, aby to nie było widmo; wkrótce posłyszał coraz wyraźnieysze stąpanie, które zdawało się ku nieniu zmierzać, i uderzony został szczękiem, podobnym do brzęku łańcuchów, lub pęku poruszanych kluczów. Stąpanie to i szczęk, nie mogły bydź skutkiem wiatru. Serce mu gwałtownie biło; sprawa surowszą się stawała; gdyby nasz wędrownik miał wtedy rozum, otworzyłby okno, dla wezwania na ratunek; lecz zamiast tego, okrył się z głową. Drzwi się otwierać i zamykać poczęły z łoskotem, stąpanie zbliżało się do sypialni; klucz wprowadzony do zamka, nie mógł go otworzyć, wiele innych następnie probowano; wreszcie, gdy na prawdziwy trafiono, zamek się otworzył; zasuwka jeszcze drzwi przytrzymywała, ale i ta odskoczyła po silném uderzeniu. Wszedł człowiek wysoki a suchy; brodę miał czarną, stróy niezmiernie staroświecki, minę posępną i gęsto brwiami zacienione oczy; na prawém jego ramieniu zwieszony był płaszcz szkarłatny; głowę miał przykrytą spiczastym kołpakiem; trzy razy przeszedł się poważnym i wolnym krokiem

po pokoju; spóyrzał na gromnice, otarł knoty, potém zrzucił płaszcz z siebie, otworzył torbę cérulicką, którą miał pod nim ukrytą, rozłożył swóy warstat na stole, i zaczął ostrzyć brzytwę o długi rzemień, wiszący u pasa.

Pot zimny wystąpił pod kołdrą na Franciszku, gdy obaczył te przygotowania: nie wiedział bowiem, czy tu o jego brodę, czy o szyję, szło widmu. Tym czasem to, wzięło srébrną flaszeczkę, nalało wody do podobney mydelniczki, chwyciło pęzel wyschłą ręką, przysunęło krzesło, i skinieniem wezwało Franciszka, aby usiadł.

Nie było co się opiérać temu skinieniu groźnemu, a wreszcie nasz wędrownik nie miał tey odwagi, wstał zatém i usiadł na podaném krześle.

Barbierz zapiął mu ręcznik, wziął grzebień i nożyczki, i ostrzygł mu brodę, jakoteż włosy na głowie; a namydliwszy mu brodę, brwi i głowę, ogolił jak derwisza; poczém umył i otarł jak należy; gdy to skończył, grzeczny zrobił ukłon, zebrał swe narzędzia, narzucił płaszcz na siebie i zabierał się do wyyścia. Chociaż nasz wędrownik wielce żałował swoich czarnych włosów, odetchnął atoli, gdy postrzegł, że się na tém kończy.

Gość zmierzył do drzwi, nie rzekłszy ani słowa; lecz zaledwo dał trzy kroki, stanął i spóyrzał posępnie na Franciszka, wodząc ręką po swey brodzie. Powtórzył tę pantominę drugi raz i trzeci, nim stanął u progu. Franciszek, widząc, że widmo czegoś chciało od niego, domyślał się nakoniec, iż należało je ogolić nawzajem.

Ze zaś, pomimo zastąpienia, duch zdawał się raczey bydź skłonnieyszym do pustot, jak do złośliwości, gdyż miasto złego obeyścia się z noclegującym, przestał na wyrządzeniu mu figla; Franciszek przeto zupełnie z bojaźni ochłonął, i nie wiele myśląc dał znak widmu, aby usiadło. To, zrzuciwszy płaszcz i rozłożywszy cały przybor na stole, zajęło mieysce. Nasz awanturnik, doskonale sprawił się w operacyi, którey sam doświadczył; lecz, że nigdy w życiu nie trzymał w ręku brzytwy, golił więc pod włos swojego pacyenta, co tysiąc śmiesznych grymasów wymogło na upiorze. Za każdém jego skrzywieniem się, Franciszek tracił odwagę; wszakże to nie przeszkodziło mu w dokończeniu rozpoczętego dzieła.

Aż dotąd nasz podróżny i widmo grali niemą scenę; lecz nakoniec duch otworzył usta, i z wdzięczném rzekł ułożeniem: „cudzoziemcze! przyym moje podziękowanie za przysługę, którąś mi wyświadczył. Na odpokutowanie za winę, byłem od trzechset lat więźniem w tym zamku, a tyś mię teraz wyzwolił. Skazany byłem na błąkanie się po tém siedlisku póty, pókiby się kto z ludzi nie przysłużył mi tém, czém służyłem innym za życia."

„Wiedz o tém, że ten zamek niegdyś był siedliskiem rycerza, który wszystkim pobożnym i cnotliwym ludziom zwykł się był naprzykrzać. Hrabia Hartmann (to było jego nazwisko) nie znał ani hamulca, ani prawa; naygrawał się ze świętey gościnności, znieważając niegodziwemi żartami i nieprzystoynemi mistyfikacyami tych, którzy szukali schronienia pod jego dachem. By-

łem jego barbierzem, i przez podłe pochlebstwo gotów byłem na wszystko, cokolwiek się podobało mojemu panu. Ileż to ja pielgrzymów zwabiłem do zamku! Przygotowywałem dla nich kąpiele, a kiedy, zwiedzeni mojemi słowy, spodziewali się dobrego przyjęcia, goliłem im brody i głowy, a potém wypędzałem za bramę, na pośmiewisko wieśniactwa. Hrabia Hartmann cieszył się z okien, na szyderstwa dzieci i mieszkańców miasteczka, skupiających się dokoła i wrzeszczących: Łysy! łysy!

„Raz, jakiś bogoboyny człowiek, z dalekich idący krain, wstąpił do zamku; za pokutę, dźwigał na sobie krzyż ciężki; na rękach, nogach i boku, miał blizny, pięć ran śś. wyobrażające, a na głowie wązką koronę z włosów, zamiast korony cierniowey. O nic nie prosił, tylko o wodę do umycia nóg, i kawałek chleba; zaprowadziłem go do wanny, postąpiłem jak z innymi, nie szanując nawet jego korony. Pobożny pielgrzym wyrzekł na mnie wówczas straszliwe przeklęstwo: Potępieńcze! zawołał, wiedz, że po śmierci dusza twa błąkać się będzie po tym zamku, póki jaki podróżny, nie uczyni ci tego, bez prośby, coś ty mi uczynił!

„Odtąd zacząłem upadać na zdrowiu, wysechł szpik w moich kościach, dusza moja opuściła ciało, które już było skieletem, a nakoniec stałem się więźniem w tych murach. Na próżnom wyglądał uwolnienia z tego okropnego wygnania, zatrzymującego mię na ziemi: dusza bowiem, w chwili rozstania się z ciałem, doświadcza gwałtowney żądzy przeniesienia się w krainy pokojn. Ciągle na moje udręczenie pełniłem

powinność, która była moim rzemiosłem za życia. Lecz, niestety! okropny łoskot, którym czynił po zamku, wkrótce go opustoszył: rzadko kiedy jaki pielgrzym na noc tu zaszedł; obchodziłem się ze wszystkimi, podobnie jak z tobą, lecz nikt nie chciał zrozumieć, o com prosił, i wyświadczyć mi przysługi, kończącey moję pokutę. Odtąd żadne widmo nie postanie w tych murach: idę kosztować odpoczynku, którego od tak dawna pragnę. Młody cudzoziemcze, przyyym jeszcze moje dzięki. Gdybym był stróżem ukrytych skarbów, oddałbym je tobie: lecz bogactwa nie były moim udziałem za życia, i żaden skarb nie jest w tym zamku schowany. Posłuchay jednak mojey rady: zostań tu, póki ci broda i włosy nie odrośną; w ówczas powróć do swego oyczystego miasta; a o porównaniu dnia z nocą, jesiennêm, czekay na moście wezerskim na przyjaciela, którego tam znaydziesz: od niego się dowiész, co masz czynić, abyś był szczęśliwym na ziemi. Gdy zaczniesz opływać w dostatki, pamiętay też o mnie w każdą rocznicę dnia tego, w którymeś mię wybawił od ciężącego nademną przeklęstwa, i day na trzy msze za moję duszę. Niech cię niebo wśpiera! Opuszczam teraz tę ziemię. Bądź zdrów."

To rzekłszy, duch zniknął i zostawił swojego wybawiciela w podziwieniu. Franciszek długo stał niewzruszony, nie wiedząc prawie: czy mu się duch ukazywał we śnie, czy na jawie; lecz łysa jego głowa nie zostawiała mu żadney wątpliwości. Położył się znowu, i spał do południa. Frant oberżysta czekał od rana na wędrownika z ogoloną głową, aby się zeń naśmiać dowoli,

udając, jakoby się dziwił temu przypadkowi. Lecz, kiedy już po południu nie widać go było, lękał się, aby go czasem nie udusiło widmo, albo też nie umarł z przestrachu, do którego punktu nie chciał bynaymniey posuwać swey zemsty. Zwołał czeladź i pobiegł do zamku. Przybywszy do drzwi pokoju, w którym widział wczorą światło, znalazł w zamku klucz nieznajomy, a zasuwkę zapartą: bo Franciszek zasunął ją znowu, po zniknieniu widma. Pełen niespokoyności, gospodarz zapukał tak, że możnaby było ocucić głuchego: Franciszek przerażony mniemał, że duch powtórnie go chciał odwiedzić; lecz, usłyszawszy głos oberżysty, chcącego się dowiedzieć o życiu podróżnego, wstał i drzwi otworzył.

Oberżysta wrzasnął głosem przestrachu, zakładając ręce na głowę: Wielki Boże! widzę, że cię odwiedzał płaszcz czerwony (pod tém nazwiskiem znano widmo w miasteczku) i ogolił! Już tedy, co o nim prawią nie jest bayką. Ale powiedz, proszę, jak wygląda ten upior? coś od niego słyszał? Franciszek, przeniknąwszy badacza, odpowiedział: Upior wygląda, jako człowiek w płaszczu czerwonym; ogolił mi, nie tylko brodę, lecz nawet głowę i brwi, jak widzisz. Co zaś mi mówił, tego nie zapomnę; o to mówił: Cudzoziemcze, nie ufay nigdy oberżyście; a ten, co cię zaprowadził, wiedział dobrze na co. Niech cię Bóg strzeże! ja zaś opuszczam już to siedlisko, gdziem dotąd przebywał. Nigdy już więcey nic posłyszą tu żadnego stuku upiora: przemieniam się w rusałkę, i ogolę, uduszę, zadławię tego łotra oberżystę, jeśli za wyrządzony

ci figiel, nie będzie cię dobrze karmił, póki czarne pukle znowu twey głowy nie okryją.

Gospodarz, słysząc to zadrżał, przeżegnał się i przysiągł na wszystko, dawać wygody swojemu miłemu gościowi, dopóki się mu zabawić u niego podoba; poczém zaprowadził go do domu, i jakby xięcia jakiego przyymował. O mało co Franciszek nie był uznanym za exorcystę, gdyż w istocie, duch nie pokazywał się już w zamku. Nasz wędrownik, często tam nocował. Właściciel, dowiedziawszy się, że straszliwy płaszcz czerwony, przestał już uczęszczać do jego zamku w Rummelsburgu, wielce się radował i zalecił dobrze przyymować przychodnia, który, jak się zdawało, zaklął był ducha.

Około owego czasu, kiedy winne grona zaczynają doyrzewać, czarne kędziory poczęły wić się na głowie Franciszka; w ówczas uwinął swóy węzełek: bo wszystkie jego myśli zmierzały do mostu na Wezerze. Kiedy się żegnał z oberżystą, ten przyprowadził mu konia w zupełnym rzędzie, którego mu pan dał w darze przez wdzięczność, za wyświadczoną łaskę, a do tego wyliczył mu sporą sumkę; dzięki za ten dar, Franciszek powrócił do swego rodzinnego miasta, na koniu, jak był rokiem wprzódy wyjechał; zajął dawne pomieszkanie na ciasney uliczce, atoli nigdzie się nie pokazywał, przestając na samych tylko doniesieniach o piękney Mecie. Dowiedział się, że jeszcze nie wyszła za mąż: nie chciał atoli ukazaniem się, uwiadomić ją o swym powrócie do Bremy, nimby swojego nie ustalił losu.

Z jakąż niecierpliwością oczekiwał porów-

nania dnia z nocą jesiennego! każda godzina rokiem mu była. Wreszcie nadszedł ów dzień tak oczekiwany. Poprzedzającey nocy, Franciszek oka zmrużyć nie mógł; wrzała mu krew w żyłach, jak w ówczas, kiedy czekał na wizytę upiora w zamku Rummelsburgskim. Aby nie zawieść nieznajomego przyjaciela, wstał równo z jutrzenką, i od brzasku już się znaydował na moście wezerskim, gdzie jeszcze nikogo widać nie było. Przechadzał się to wzdłuż, to wszerz, z owém przeczuciem jakiegoś szczęśliwego wypadku, słodszém od samey rzeczywistości: nie tyle bowiem skutek naszych życzeń, szczęśliwymi nas czyni, jak owe nadzieje, któremi się cieszymy. Tysiąc układał projektów, jak się miał pokazać Mecie, kiedy spodziewany odzyska majątek, i suszył sobie głowę nad tém, ktoby to był tym przyjacielem, którego miał uyrzeć.

W godzinę, most stał się mniey pustym: piesi, konni, wozy kupieckie, przechodzić zaczęły. Zebracy, bez rąk, na szczudłach, pełzający i inni, zajęli właściwe stanowiska. Naypierwszym z tych nieszczęśliwych, co się udał z prośbą do Franciszka, był żebrak, który na kulach chodził, a był dobrym obserwatorem: rzadko więc zaczepił przechodnia, któryby go odprawił z niczém. Postrzegł nadzieję i radość na twarzy Franciszka, uznał go więc przygotowanym do czynienia dobrze bliźniemu; jakoż ten rzucił w kapelusz biedaka nowiutki engelsgrosz (*).

(*) *Engelsgroschen*, sztuka monety, wartująca 12 do 15 *sous*. Biją ją w Hartz, przyymowaną atoli jest i w innych prowincyach niemieckich.

Niecierpliwość jedynie wygnała naszego młodzieńca tak rano z domu: uważając bowiem, że przyjaciel, którego wyglądał, musiał należeć do wyższey klassy społeczności, nie powinien go był spodziewać się napotkać na moście wezerskim, o tey porze, gdy jeszcze możnieysi dobrze usypiają; ztąd też mało dawał baczności na tych, co wówczas przechodzili. Lecz o tey godzinie, o którey zwykle urzędnicy do zatrudnień wyjeżdżają, a narady rozpoczynają się w birży, stał się nader uważnym. Jak tylko któś dobrze ubrany pokazał się na moście, serce mu gwałtownie bić zaczynało, i mniemał, że w nim widzi zapowiedzianego przez upiora przyjaciela. Tym czasem godzina po godzinie upływała; słońce już połowę swey drogi odbyło, a ów przyjaciel nie nadszedł. Południowa godzina czynności uspokoiła; tłum się przerzedził, a przyjaciela nie było. Franciszek przechadzał się sam po moście, a żebracy siedząc po prawey i po lewey stronie, obiadowali na swoich mieyscach, co każdy z sobą w torbie przyniósł. Franciszek poszedł za ich przykładem, kupił nieco owoców, i jadł chodząc nieustannie.

Bractwo żebraków dziwiło się, widząc młodzieńca dobrze ubranego, chodzącego po moście od świtu do południa, a nierozmawiającego z nikim. Wszyscy jednomyślnie osądzili go za próżniaka: jałmużna, którą każdego obdarzył, nie uchroniła go bynaymniey od przycinków; i przez śmiéch nazywali go inspektorem mostu. Fizyognomista na szczudle, postrzegał, że młodzieniec nie był tak wesół, jak zrana; zdawał się on teraz tonąć w myślach; nasunął kapelusz

na oczy, ruchy jego były powolne, lub raptowne, i od pół-godziny żuł jabłko, nie zdając się pamiętać, co czyni. Kulawy postanowił korzystać z jego zamyślenia; przeszedł więc w koniec mostu, aby zaczekać na medytującego i dostać od niego powtórnie jałmużnę, jakby nowoprzybyły. Obrót ten dobrze mu się powiódł; Franciszek machinalnie włożył rękę do kieszeni, i aby się pozbyć żebraka, na którego, ani spóyrzał, wrzucił mu znowu pieniądz do kapelusza.

Gdy pora obiadowa minęła, tysiąc nowych figur zjawiło się na moście. Przykrzyło się już Franciszkowi czekać na przyjaciela; nadzieja wszelako jeszcze go zatrzymywała. Zbliżał się do każdego dobrze ubranego, sądząc zawsze, iż którykolwiek z nich, skoczy mu na szyję; lecz wszyscy szli w swoję drogę; wielu z tych wcale go nie postrzegało, niektórzy odpowiadali tylko na jego życzliwe pozdrowienia, lekkiem skinieniem głowy. Słońce stanęło już nad zachodem; ciżba zmnieyszała się coraz bardziey na moście; już nawet żebracy opuszczać go zaczęli. Głęboka melancholija opanowała Franciszka; widział niknące wespół ze światłem słoneczném, świetne nadzieje, któremi się karmił przed wschodem. Przywalony rozpaczą blizkim już był skoczenia do wody, lecz wspomnienie Mety jeszcze go wstrzymało; chciał ją obaczyć raz jeszcze przed ukończeniem swojego nieszczęśliwego życia; postanowił zatém czatować na nią nazajutrz, gdy będzie szła na mszą, upoić się po raz ostatni rozkoszą oglądania jey wdzięków, a potém zanu-

rzyć w Wezerze i swoję miłość, i swoje nieszczęścia. W chwili, kiedy miał się oddalić, spotkał żebraka na szczudle, który tysiąc robił domysłów, o powodach, jakie mógł mieć młodzieniec, do czatowania na moście od wschodu słońca, aż do nocy. Zebrak dłużey został, jak zazwyczay, aby wiedzieć, na czém się skończy ta dziwna przechadzka; a ciekawość natchnęła go myślą, wybadania go ustnie. Daruy panie mojey śmiałości, rzekł, czy pozwolisz siebie zapytać? Młodzieniec nie był w humorze rozprawiania. Nie mogąc znieść, aby z nim wszczynał rozmowę żebrak, po próżném oczekiwaniu od rana jakiegoś możnego przyjaciela, odpowiedział surowie: Czego chcesz, stary wąsalu? mów. WPan i ja, rzecze żebrak, byliśmy dziś pierwszymi na moście, gdy oto teraz jesteśmy ostatnimi. Ja z sobie podobnymi trawię dzień cały na proszeniu jałmużny; lecz WPan, który chodzisz, zdaje się, nie jesteś z naszego bractwa: pozostałeś jednak tu od rana do wieczora. Jeśli to nie jest tajemnicą, racz mi powiedzieć, co cię tu sprowadziło, albo jaki ciężar przywala twe serce, którego chcesz się pozbyć? — Ey! móy przyjacielu, odpowie Franciszek z gniewem, na co ci się przyda wiedzieć o moich?— Pozwól WPan sobie powiedzieć, żem się nim interessować począł, boś mię obdarzył, a nawet dwukrotnie: postrzegłem, że twoja twarz nie była tak wesołą nad wieczór, jak zrana, a to mię niezmiernie zasmuca. Ubolewanie nad nim starego żebraka, tak dalece tknęło Franciszka, iż uczuł skłonność do rozmawiania z nim dłużey. Dobrze więc! rzecze, ponieważ tak pragniesz dowie-

dzieć się, dla czegom tę nudną odprawiał wartę, wiedz przeto, iż oczekiwałem przyjaciela na moście. Pozwól sobie WPan otwarcie powiedzieć, odpowie szczudlaty, iż ten jego przyjaciel, ktobykolwiek był, musi bydź chłystkiem, co z niego szydzi; jeśliby mi tak zrobił, dowiedziałby się, ile ważą moje kule. Daymy na to, że mu co przeszkodziło w dotrzymaniu słowa; czyliż nie mógł cię o tém uprzedzić; trzeba było, aby się obszedł z tobą, jak z dzieckiem?— Wszelako, odpowie Franciszek, nie mogę obwiniać go za to, iż nie przyszedł: niczego mi bowiem nie przyrzekał; na wiarę tylko snu, spodziewałem się tu znaleźć przyjaciela — O! to co innego, rzekł żebrak; jeśli wierzysz snóm, nie dziw się więc, iż nadzieje cię zawodzą. Miewałem ich bez liku, jak żyję, a nawet naydziwacznieysze; ależ nigdy nie byłem takim półgłówkiem, abym naymnieyszą do nich przywiązywał wiarę. Gdybym miał wszystkie skarby, które zbierałem we śnie, mógłbym kupić miasto Bremę, jeśliby ono było na przedaż; lecz tak mało daję snóm wiary, iż nigdym nie chciał probować, azali fałsz lub prawdę mówią. Smiać mi się chce, iż dla miłości snu, postradałeś jeden dzień w życiu, ktoryś mógł wesoło przy szklance z przyjacioły przepędzić. Skutek pokazuje, że słusznie mówisz móy zuchu, odezwie się Franciszek; ale jednak sen, który przed trzema miesiącami miałem, a który mię zapewniał, iż znaydę tu przyjaciela, mającego mi donieść o rzeczy wielkiey wagi, tak był oczywisty, iż nie mogłem się o djąć chęci przeświadczenia się, czy też nie zna ydę tego przyjaciela —

Ach! odpowie szczudlaty, nikt nie doświadcza snów dziwacznieyszych nademnie: jeden nadewszystko nie wyydzie mi nigdy z pamięci. Już temu, Bóg wié, ile lat, sniło mi się, że móy anioł stróż stał przy mojem łóżku; złociste pukle spadały mu na czoło i szyję; srebrzyste skrzydła wznosiły się nad barkami: *Bertoldzie*, zawołał, słuchay dobrze, co ci powiém, i pamiętay co do joty. Skarb dla cię jest przeznaczony; odkopiesz go, abyś mógł przepędzić resztę dni twojego życia wygodnie. Jutro wieczorem, gdy słońce będzie na zachodzie, weź rydel i motykę, a minąwszy Muttenburg, przeydź Tiber i uday się prosto do wielkiego Rolanda; jak tylko wyydziesz za miasto, znaydziesz ogród, który poznasz po trzech stopniach kamiennych, położonych przed fórtką. Zaczekasz w ustroniu, nim xiężyc weydzie; wtedy dopiero całemi siły popchniesz fórtkę, która się natychmiast otworzy. Weydziesz do ogrodu; po lewey stronie szpalerów będzie jabłoń, zbliż się do niey, i obróciwszy się twarzą do xiężyca, patrz na prawo od siebie, i zwróć oczy ku ziemi; o trzy łokcie od stop swoich, postrzeżesz dwa krzaki różane; kopay w tém mieyscu na dwie stopy w głąb, a znaydziesz płytę kamienną, przykrywającą kufer żelazny, pełen złota; podnieś kamień nie żałując siły, bo będziesz dobrze nagrodzonym; klucz znaydziesz pod kufrem.

Franciszek, osłupiały z zadziwienia, poglądał tępym wzrokiem na żebraka, i gdyby nie tak było ciemno, nie zdołałby pokryć swojego pomieszania. Z opisania żebraka, przypomniał ogród, który był roskoszą jego oyca, a który

sam za nic prawie przedał: bo mu się nie podobał.

Stary kaleka, był teraz w jego oczach niepospolitą dlań osobą: nie wątpił bowiem, iż to jest ów przyjaciel, do którego widmo w zamku Rummelsburgskim go odprawiło. W zbytku radości, chciał go uściskać; nazwać swym oycem, zbawcą; lecz powściągnął się w tém pierwszém uniesieniu, aby nie dał poznać starcowi, jak ważném było jego odkrycie; rzekł więc tylko z miną spokoyną: prawdziwie, to sen szczególnieyszy; lecz, móy przyjacielu, nazajutrz po tey nocy, nie uczyniłżeś tego, co ci twóy anioł stróż radził? Ja! miałżebym tak próżną zadawać sobie pracę! odpowie szczudlaty; nie, nie, móy panie, niech się z niemi cieszą dzieci i stare baby, jam nie jednę w życiu strawił noc nie zmrużywszy oka, mógłby więc móy geniusz, jeśli co miał, odkryć mi na jawie; lecz widać, że los móy nigdy go nie obchodził: bobym inaczey nie skakał na tém szczudle. Franciszek dobył z kieszeni ostatni pieniądz, który miał przy sobie, mówiąc: masz, zacny człowiecze, na butelkę wina, rozmowa twoja rozpędziła moję posępność. Nie zaniechay bywać na tym moście, obaczymy się zapewne. Starzec nie pamiętał dnia tak szczęśliwego, tysiącem błogosławieństw obdarzył swojego dobroczyńcę i wszedł do szyneczku. Franciszek pełen nowych nadziei, udał się do swego pomieszkania.

Nazajutrz, postarał się o potrzebne narzędzia do odkopania skarbu, to jest: rydel i motykę; jeśli bowiem ten znaydował się w pomienionéм mieyscu, bez tych pomocy obeyśćby się nie mógł.

Poczém, niecierpliwie czekał zachodu słońca: skoro postrzegł, że znikło, puścił się w drogę, przyszedł na mieysce wskazane, wcisnął się do ogrodu, uyrzał jabłoń, dopełnił ściśle opowiedzenia żebraka, i stał się, bez naymnieyszey przeszkody, panem skarbu.

Oyciec jego Melchior, zakopując te pieniądze, nie miał zamiaru pozbawiać swojego syna, tey dosyć znaczney części puścizny; lecz go śmiérć niespodzianie zaskoczyła. Myślał sobie, iż gdy przyydzie błogosławić syna, odkryje mu skarb, zagrzebany w ogrodzie. Lecz, jakeśmy widzieli, uczta z barwen pomieszała jego układy.

Dziedzic z zachwyceniem patrzał na złoto, napełniające kufer żelazny. Gdy pierwsze jego uniesienia uhamowały się nieco, myślał nad sposobami, przeniesienia tych bogactw do swojey małey izdebki. Ciężaru tego sam przenieść nie mógł; przechował więc część znaczną w dziupłu drzewa znaydującego się na łące, nie daleko ogrodu; zasypał ziemią próżny kufer, i zagładził, jak mógł nayiepiey. We trzy dni cała summa, przeniesioną została na ciasną uliczkę; wówczas Franciszek osądził, iż należało już zaniechać *incognito*. Opatrzył swą garderobę. Prosił o zaprzestanie modłow za siebie w kościele, i wypełnił ofiarę, jaką uczynić młody wędrownik obiecał, za powrótem do domu, po szczęśliwem ułatwieniu swoich interessów. Wcisnął się w kąt choru w kościele, skąd dowoli mógł się napatrzeć na piękną Metę; a widząc ją, winszował sobie znowu, iż nie skoczył z mostu do Wezery. Skoro Meta usłyszała modlitwy dziękczynne, cała jey twarz przybrała nayżywszy i naytkliwszy wyraz, a jagody

jey ubarwiły się rumieńcem radości. Gdy dwoje kochanków spotkało się przy wyyściu z kościoła, pantominy ich tak były wymówne, iż nikt trzeci, wcale obojętny, nie mógłby się omylić.

Franciszek ukazał się na birży, i pozawiązywał interessa, które w kilka tygodni tak się ważnemi stały, iż zawistnicy szemrali, jakoby więcey odzyskał, aniżeli mu należało. Najął dom obszerny; począł utrzymywać kommissa, i oddał się swoim interessom z naywiększą pilnością. Dawni przyjaciele, pasorzyty, nie zaniechali skupiać się doń z powinszowaniami; lecz Franciszek odpłacił im własną monetą: aż nadto grzeczności, a żadnego obiadu, sposób jedyny pozbycia się podobnych ludzi.

Powrót Franciszka do majątku, stał się przedmiotem wszystkich rozmów w Bremie. Ciągle o nim tylko mówiono. Dziwiono się szczęściu, z jakiem odzyskał należności za granicą. Lecz, im bardziey się wieść o możności Franciszka szerzyła, tym więcey Meta była niespokoyną. Zdawało się jey, że już czas nadszedł, w którym ów kochanek, tak długo przez wzgląd na prawidła przystoyności niemy, mógł się nareszcie tłumaczyć. Wszakże ciągle milczał, i wyjąwszy tylko czaty na drodze do kościoła, nigdzie się Mecie nie pokazywał. Nawet i ten honor rzadziey już czynił. Zawiść wcisnęła się do serca Mety, a pięknych jey oczu, sen odtąd zamykać nie mógł. Niestety, myślała, kochał mię, dopóki jego fortunka równą mojey była, lecz teraz, gdy los pomyślny wyniosł go nademnie, gdy

go zbytek otacza na nowo, pogardza mém sercem, które dlań chowa naytkliwsze uczucia.

Myśli te bezustannie dręczyły serce Mety, która przebiegała myślą, wszystkie ładne dziewczęta w mieście. Pierwsza nowina o zmianie losu Franciszka, przejęła ją radością, nie dla tego, żeby się spodziewała używać dostatków, lecz przez wspomnienie na to, iż szczęśliwość może bydź jeszcze udziałem jey matki, która postradała wszelką nadzieję spokoynego życia, odtąd, jak jey córka odmówiła bogatemu piwowarowi. Brygida postrzegła wkrótce smutek swey córki, i łatwo doszła jego przyczyny. Wiedziała, iż jey dawny sąsiad do pomyślney przyszedł doli, i, że uchodził teraz za wzór handlarzy; myśliła więc, iż, jeśli kochał prawdziwie jey córkę, wykraczał zwłoką w oświadczeniu miłości. Z tém wszystkiem wystrzegała się wspomnieć przed Metą o Franciszku. Dziewczyna ze swey strony, tysiąc sobie czyniła zarzutów, iż nadzieje matki zawiodła.

Wkrótce rozeszła się po mieście pogłoska, jakoby Franciszek urządzał dom z naywiększym przepychem: miał się bowiem z bogatą ożenić panienką. Wieść ta, do reszty serce biedney Mety strapieniem przejęła.

Jednego ranku, kiedy myślała o wiarołomnym, ktoś zapukał do drzwi. Brygida otworzywszy, nie mało się zdziwiła, widząc dawnego sąsiada z ciasney uliczki.

Stróy miał na sobie wykwintny, a jego piękne czarne pukle starannie były ułożone. Chciała mówić Brygida, lecz zachwycenie język jey otrętwiło. Kochanek niemy, który teraz odzyskał

mowę, użył jey nayzręczniey, i prosił Brygidy o rękę Mety, przydając, że jego dóm był już przygotowany do przyjęcia piękney oblubienicy.

Brygida ochłonęła nieco: a będąc mocno przywiązaną do starych zwyczajów, chciała odpowiedź do tygodnia odłożyć; łzy jednak stanęły jey w oczach. Franciszek nalegać zaczął; odwołała się więc do córki, która, nie wątpiąc już o miłości swojego kochanka, podała mu rękę; ten zaś, ponieważ tylą opłacił tę rękę trudami, nayskwapliwiey ją uchwycił.

Czuła para, miała w ówczas porę wynagrodzenia sobie długiego milczenia. Franciszkowi równie ciężko było rozłączać się ze swą narzeczoną, jak w owym dniu, kiedy wyjeżdżał do Antwerpii. Lecz miał jeszcze jedną ważną rzecz do spełnienia.

Szło mu o widzenie się ze starym żebrakiem na moście wezerskim: nie zapomniał bowiém o nim, lubo się opoźnił z dotrzymaniem mu słowa. Szczudlaty poznał z daleka swojego dobroczyńcę i poskoczył co rychley. Przyjacielu, rzekł doń Franciszek, nie mógłbyś póyśdź ze mną na nowe-miasto? mam ci tam dać jedno zlecenie. Czemu nie? odpowié żebrak: lubo chodzę na szczudle, potrafię tyle ubiedz, ile ów karzeł chromy, co to obiegł łąkę mieyską (*): ta bowiem noga, ma

(*) Pewna hrabini, którey majątek przytykał do Bremy, przyrzekła w żarcie Bremeńczykom, darować grunt, któryby karzeł chromy, proszący u niey wówczas o jałmużnę, mógł przez dzień obiedz. Podchwycono ją za słowo, a karzeł tak się na swych krótkich nogach porządnie sprawił, iż miasto nabyło grunt, stanowiący teraz łąkę spólną.

to do siebie, iż się nigdy nie zmorduje. Ale pozwól mi małą chwilę zwłóki, abym zaczekał na człowieka w popielatym stroju, który co wieczór przez most przechodzi. Któż to jest taki? zapytał Franciszek. Jestto jakiś nieznajomy, co mi codziennie srebrny grosz przynosi, nie wiém od kogo, lecz mnieysza o to. Przychodziło mi na myśl, że ten człowiek popielaty, może bydź szatanem, który chce zakupić tym sposobem mą duszę. Ale żem w targi nie wchodził, wielce się zawiedzie. I mnie się tak zdaje, dodał Franciszek śmiejąc się, że ten człowiek popielaty, musi mieć związki z lucyperem. Lecz chodź za mną, nie stracisz srebrnego grosza.

Szczudlaty począł skakać za swoim przewodnikiem, który go w odległą część miasta wprowadził, nie daleko wałów; zatrzymał się przy jedney bramie i zapukał; gdy otworzono, rzekł do żebraka: Przyjacielu, uprzyjemniłeś mi jeden wieczor, słuszna więc, abym jakkolwiek osłodził wieczór twojego życia. Ten dóm, zabudowanie i ogród, w którym stoimy, do ciebie należą; kuchnia i piwnica dobrze są opatrzone; znaydziesz tu człowieka na usługi, a codzień u stołu, srébrny grosz pod serwetą. Nie będę taił, iż ów człowiek popielaty, jest moim sługą, który ci codziennie nosił jałmużnę, póki ten dóm nie stanął, jak należy.

Zebrak tak się dziwił szczęściu, które go nagle spotkało, iż nie wiedział, czy mu się marzy, czy jest na jawie. Nie mógł pojąć, dla czego taki bogacz, ulitował się nad nim. Potok łez zalał policzki starca. Franciszek oddalił się, nie czekając jego podziękowań.

Nazajutrz Franciszek posłał do swey narzeczoney kupców rozmaitych. Przepędziła ona dzień na wybieraniu materyy, korónek i kleynotów. Nim trzy tygodnie upłynęły, Franciszek zaprowadził Metę do ołtarza, z drużyną bez porównania świetnieyszą, niż była owego mistrza chmielnego. Brygida miała tę pociechę, iż sama włożyła wieniec szlubny na swą cnotliwą córkę, i spędziła wiek podeszły w dostatkach, przy swoich szczęśliwych dzieciach.

Epigrammata *Ignacego* Legatowicza (z franc.).

1.

Ach! kocham, Kamillo droga!
Kocham, zlituy się dla Boga!
Gniewasz się? uspokóy siebie:
Powoli, pani, nie ciebie.

2.

Nie ma ten w rzeczach sądzenia,
Kto nie mówi z doświadczenia.
Nie żonaty, w wiosny kwiecie,
Nie wierzyłem, (błąd się zdarzy),
Co mówili ludzie starzy,
Że piekło jest na tym świecie.
A dziś, zostawszy żonatym,
Przekonałem się, że na tym.